

Metry na osobę O trudnym losie kłodzkiego lokatora

Łada Ponikowska

Według danych GUS średnia powierzchnia mieszkaniowa w Polsce wynosiła w 2013 roku nieco ponad 26 m² na osobę, mieszkanie miało przeciętnie 73 m², a jedna izba mieszkalna przypadła na ok. 0,7 osoby. Z taką średnią Polska znajduje się na jednym z ostatnich miejsc w Europie. Jednak w porównaniu z dramatycznymi problemami mieszkaniowymi sprzed kilkudziesięciu lat, te statystyki brzmią wręcz fantastycznie dobrze.

W Kłodzku końca lat 50. XX. maksymalna dozwolona powierzchnia lokalu przypadająca na mieszkańca ustalona była na zaledwie 9 m², a i o takim luksusie większość mogła tylko pomarzyć. Nierzadko w jednym pokoju gnieździło się po kilkanaście osób, a ci, którzy mieli trochę lepiej niż dopuszczała norma chwyтали się wszelkich sposobów, aby ten stan utrzymać.

Dziennikarz „Głosu Ziemi Kłodzkiej” radził w 1957 roku: *(...) należy uporządkować kartoteki, by można mieć realne rozeznanie jaką przestrzeń użytkuje każdy lokator i z wielu osób składa się jego rodzina aktualnie zamieszkująca razem z nim. Niektórzy bowiem amatorzy dużych przestrzeni życiowych ratują się fikcyjnymi zameldowaniami a wygodni administratorzy milczą (...).* Zachęcał do surowego karania opornych oraz dzikich lokatorów samowolnie zajmujących chwilowo wolne lokale.

Dzielenie dużych mieszkań na mniejsze, dokwaterowywanie jednych lokatorów do drugich nie wystarczało. W ratuszu wciąż przybywało podań o przydzielenie mieszkania. W udzielonym w końcu 1959 r. reporterowi „Słowa Polskiego” wywiadzie kierownik referatu kwaterunkowego mówił o 1500 wnioskach. Władze i prasa apelowały do zakładów pracy o ścieśnianie powierzchni biurowych i tymczasowe kwaterowanie pracowników w pozyskanych pomieszczeniach, co wcale nie było przyjmowane entuzjastycznie.

Przyczyny ogromnego braku mieszkań w Kłodzku były liczne, ale dołączył do nich powód szczególny – kłodzka starówka w latach 50. XX w. zaczęła się rozpadać. Z zagrożonych zawaleniem kamienic trzeba było wysiedlać mieszkańców – tymczasem nowych mieszkań budowano za mało, a ciągle napływali nowi osadnicy – zarówno repatrianci ze Wschodu, jak mieszkańcy innych stron kraju. Wielka liczba osób nie mających mieszkania mogła być podstawą do wystąpienia przez prezydium Miejskiej Rady Narodowej do prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej o wstrzymanie napływu osadników do miasta. Na taki krok rada nie chciała się zdecydować, tym bardziej, że w Kłodzku wciąż brakowało rąk do pracy – w każdym razie rąk nadających się do pracy.

Brakowało ich choćby w budownictwie. Przedsiębiorstwa remontowo-budowlane wciąż nie wykonywały norm i nie były nawet w stanie „przerobić” przeznaczonych na inwestycje pieniędzy. Nic więc dziwnego, że gdy w 1957 r. Miejski Zarząd Budynków Mieszkalnych w Kłodzku zaproponował zakładom pracy, aby przejmowały wymagające remontu lokale i budynki i odnawiały je dla swoich pracowników, nie było chętnych. (...) *musi się materialnie zainteresować fachowców tej branży (budowlanej – przyp. aut.), niezbyt zresztą licznym pracą na terenie miasta. Wtedy będzie można ratować stare piękne domy Kłodzka i budować nowe, aby zapewnić jego mieszkańcom, których jest coraz więcej, dach nad głową* – pisał w 1959 r. dziennikarz „Słowa Polskiego”.

W kolejnych latach sytuacja nie poprawiała się. W sporządzony w lipcu 1967 r. sprawozdaniu Prezydium MRN w Kłodzku z realizacji programu zabezpieczeń dzielnicy staromiejskiej miasta Kłodzka przedstawiono „spadek mocy przerobowej” Miejskiego Przedsiębiorstwa Remontowo-Budowlanego, które w 1961 r. wydało 80% środków na remonty i budowy, w 1962 r. 60%, a w kolejnych czterech latach nie przekroczyło 40%. Dziennikarz „Gazety Robotniczej” w 1964 r. następująco przedstawiał problemy mieszkaniowe Kłodzkan: (...) *w kłodzkim kwaterunku leży ponad 3 tys. podań o mieszkania. (dwa razy więcej niż w 1959 r. - przyp. aut.) Większość to sprawy naprawę pilne. Ludzie mieszkają w ciemnych, zawilgoconych suterach, gnieźdzą się w ciasnych kłitkach, żyją w zagrożonych budynkach.*

Dochodziło do doskonale nam znanego wykorzystywania stanowisk do „załatwienia” mieszkania, wobec czego prasa domagała się ujawniania list oczekujących, ogłaszania przydziałów oraz powoływania do komisji osób starających się o własny kąt. Formalnie przydział lokali odbywał się według pewnego klucza, a pierwszeństwo mieli wykwaterowywani z najbardziej zagrożonych lub przeznaczonych do wyburzenia budynków. W 1962 roku „Gazeta Robotnicza” tak przedstawiała podział mieszkań: (...) *64 izby - dla rodzin z budynków zagrożonych, 72 izby - dla rodzin ze strychów i suterach i zagęszczonych mieszkań, 8 izb dla ludzi niezbędnych dla miasta.*

Fakt, że w Kłodzku potrzebne jest nowe budownictwo, był oczywisty dla władz i mieszkańców miasta, jeszcze zanim uświadomili sobie, jak ogromne jest zagrożenie zabytkowych budynków w centrum. Nie było natomiast zgody w innych sprawach. Burzyć, remontować czy przebudowywać? – te pytania budziły ogromne emocje. Nawet kiedy już było oczywiste, że zniszczenia bardzo wielu pięknych kamieniczek są nieodwracalne, a ocalenie pozostałych zdecyduje o tym, czy Kłodzko w ogóle będzie miało jakąś starówkę, znajdowali się obywatele, którzy gorąco protestowali przeciwko marnotrawieniu pieniędzy na ratowanie „ruder”.

Nieustannie planowano budowę nowych domów, całych osiedli oraz zabudowy uzupełniającej w miejscach wyburzonych budynków. Jednak realizacja tych zamierzeń przebiegała dużo wolniej niż planowano i niż to było konieczne, w dodatku jakość budowanych mieszkań pozostawiała wiele

do życzenia. Lokatorów wymarzonego M z ciepłą wodą w kranie i centralnym ogrzewaniem czekały nieprzyjemne niespodzianki. Z taką przeciwnością losu spotkali się w 1963 roku mieszkańcy bloku przy ul. Morcinka 7, co z prawdziwym wyczuciem dramaturgii oddał reporter „Gazety Robotniczej” w rubryce „obrazki spod ciemnej gwiazdki”: *Pani domu znalazła przepis na to danie w ostatnim „Przekroju”. I z początku wszystko szło jak z płatka: kartofelki się ładnie zarumieniły, mięso skruszało, zupa zapachniała groszkiem. Ale w momencie przygotowania ostatnich przypraw, na kuchenkę nagle runął półtorametrowej wielkości kawał tynku. Inne kawałki zaczęły spadać z sufitu na stół, podłogę, naczynia.*

Wobec niezbyt budującego tempa i jakości budownictwa pojawiały się różne oryginalne nigdy niezrealizowane idee rozwiązania problemu mieszkaniowego w Kłodzku, a wprowadzano w życie tymczasowe rozwiązania, które niestety okazały się nadzwyczaj trwałe.

Do tych pierwszych należy zapomniana już koncepcja przedstawiona w 1964 roku w „Gazecie Robotniczej” w artykule zatytułowanym „Kłodzko w górę”. Autor pomysłu inż. Kazimierz Bolechowski w liście do redakcji proponował, aby nadbudowywać dodatkowe piętra w będących w dobrym stanie kamienicach oraz adaptować na mieszkania strychy, poddasza i mansardy. Redaktorzy podchwycili temat, pytając: (...) *czy owych dobudówek nie można poczynić na nowo stawianych budynkach?*

Przykładem tych drugich są rozsiane po mieście (Wiejska, Wolności, Partyzantów, Hołdu Pruskiego, Targowa) tzw. „trzciniowce” zbudowane z gotowych prefabrykatów wyprodukowanych przez Zakłady Prefabrykatów Trzciniowych z Namysłowa. Te pawilony wzniesione na początku lat 60. przetrwały już 50. lat tymczasowej egzystencji i nic nie zapowiada ich rychłego końca. Podobnie dobrze trzymają się wzniesione w centrum miasta pawilony handlowe. Decyzję o ich postawieniu podjęto, uważając że do czasu pełnego zabezpieczenia kłodzkich podziemi, budowanie plomb nie ma sensu. O tej wiecznej prowizorce trudno nie pamiętać.

Kłodzkie katastrofy budowlane, remonty, przebudowy, inwestycje, sukcesy i klęski wywoływały gorące dyskusje o tym, czy warto ratować zabytkowe domy, o tym jak, gdzie i co remontować, przebudowywać i budować. Jednak skłaniały również do rozważań ogólniejszej natury – z których najważniejsza konkluzja była taka: Kłodzko potrzebuje dobrych gospodarzy: przewidujących konsekwencje prowadzonych działań (lub ich braku), realizujących plany, umiejących podejmować decyzje póki czas.